Nr. 42. We Lwowie dnia 19. października 1896. Rok 4.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

## O KWESTJI TAK ZWANEJ „KOBIECEJ“

### ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH.

Dr. B. Dybowski.

To usty mówię,
Co w sercu czuję. (*J. K.*)

Podług złej pewnej części całości nie mierzyć,
Czcić „kobiecość“ w przyrodzie, i w jej wielkość wierzyć.
Gdyśmy w mgle snów dziecięcych matkę poznawali,
Nie wiedząc co kobieta kobietę kochali.

Kwestja, tak zwana »kobieca«, wywołała, szczególniej w czasach najnowszych, po przed oczy czytającej publiczności moc wielką produktów piśmiennictwa, różnych wprawdzie co do objętości, treści i formy, ale które wszystkie razem wzięte i każdy z osobna rozpatrywany, miały na celu — wyjaśnienie kwestji rzeczonej. Wszystkie one rościły pretensję do rozświetlenia pojęć naszych, dotyczących stanowiska, jakie kobiety zajęły lub zająć byłyby powinne w społeczeństwach cywilizowanych.

Pouczanie na temat stanowiska społecznego kobiety, temat modny w chwili obecnej, odbywało się w najrozmaitszy sposób, raz przy pomocy argumentów, tak zwanych naukowych, drugi raz środkami banalnych schlebiań próżności ludzkiej, to znów środkami komizmu, sarkazmu, ironji, cynizmu aż do granic brutalstwa, a w pewnych poszczególnych wypadkach uciekano się do broni bardziej jeszcze skutecznej, bo do groźby.

Jeżeli uważniej rozpatrzymy kierunki, jakie się wyłaniały z tej powodzi piśmiennictwa, o którem mowa, to będziemy mogli wyraźnie oznaczyć dwie główne ich kategorje: jedna z nich obejmuje bądź traktaty naukowe, bądź powieści i utwory sceniczne, w których odsądza się w ogólności kobiety od praw, dziś przynależnych mężczyznom, druga natomiast mieści w sobie prace autorów, którzy uznają potrzebę równouprawnienia płci obu.

Rzecznicy tych dwóch głównych, zasadniczo różnych poglądów, co dopiero wymienionych, mieli przed sobą jeden i ten sam zasób faktów, którymi się posługiwali, a jednak przychodzili do wniosków wręcz sobie przeciwnych. Takie rażące sprzeczności w wywodach, osnutych na tle jednakich założeń, muszą z konieczności budzić wątpliwości, z jednej strony co do wartości samych faktów, z drugiej odnośnie do logiki nimi się posługujących.

Ale nietylko wymienione powyżej przyczyny stanowią tutaj o różnicy w zdaniach, są inne jeszcze, głębsze, ważniejsze. I tak, gdy rozważymy dokładniej stanowisko, jakie w zakresie poglądów o rozwoju wszechświata, zajmuje każdy z piszących, o których była mowa, to przekonamy się, że przeciw równouprawnieniu stoją w zwartym szeregu zwolennicy teorji o celowości opatrznościowej, preformiści, determiniści, scholastycy, metafizycy różnych odcieni i szkół różnych etc., przeciwnie za równouprawnieniem oświadczają się przeważnie transformiści, ewolucjoniści. Przekonania powyżej zaznaczone, do których dójść musi każdy, co się pilniej zastanawiać zechce nad okolicznościami wzmiankowanemi, pozwolą nam zrozumieć, że najważniejszym czynnikiem, który wytwarza głównie niezgodność w wywodach, jest stanowisko, jakie zajmuje każdy piszący w kwestji kobiecej wobec poglądu na rozwój świata organicznego. Od tego stanowiska zawisło stanowczo i oświetlenie faktów i ich interpretacja, bo te same dane, na których opierają się zwykle wnioski ostateczne, mają różne znaczenie i doniosłość różną, jedynie tylko z racji różnic, jakie zachodzą w poglądach zasadniczych, wyznawanych przez każdego z danych autorów.

Zdaje się mi, że dwóch zdań być nie może, jeżeli nam chodzić będzie o zrozumienie tego faktu n. p., że traktowanie naukowe gromady płazów albo pierścienic jest możebne tylko przy udziale ludzi fachowych, każdy bowiem przyzna bez wahania, że o zwierzętach rzeczonych wydawać może i powinien sądy ten, kto zna biologję, czyli ten, co jest obeznany z anatomją, fizjologją, embrjologją i filogenją państwa zwierzęcego, a w ostatniej linji, kto poznał dokładnie systematykę całej gromady zwierząt, o których mowa; że n stępnie do wypowiadania zdań w przedmiocie, dotyczącym płazów n. p., nie mają prawa ci, którzy nic zgoła o nich nie wiedzą. A wszakże gdy rzecz idzie o głębokie, trudne i zawiłe zagadnienia, odnoszące się do istoty człowieka lub do społeczeństw ludzkich, to każdy, nawet pierwszy lepszy reporter, albo feljetonista zwykłego czasopisma politycznego, czuje się powołany i uprawniony do wypowiadania zdań w tych kwestjach, a wyraża je przytem z takim aplombem i taką stanowczością, jak gdyby był najbardziej kompetentnym sędzią na polu całej biologji. Podobną drogą szła dotąd znaczna część historyków, filozofów i socjologów, a w ślad za nimi podążała cała falanga nowelistów, powieściopisarzy etc, sądząc, że są zdolni wyrokować o kwestjach, dotyczących człowieka, mianowicie o jego pochodzeniu i o zmianach wśród warunków życia — a to na mocy tych kwalifikacji, że znają pewną ilość faktów z zakresu tak zwanej historji powszechnej, i że poznali ilość pewną osobników ludzkich. Rzecz się ma tutaj zupełnie tak samo, jak z owym sztygarem, który, że pracował w kopalni węgla, czuł się uprawniony do wydawania stanowczych decyzji w każdym poszczególnym przedmiocie, dotyczącym geologji lub astronomji.

Gdy chcemy zrozumieć mowę, za pomocą której dają nam znać o sobie miljony gwiazd z przestrzeni wszechświatowej, to z łatwością uznajemy konieczność uczenia się fizyki, matematyki, astronomji i innych pomocniczych gałęzi wiedzy przyrodniczej, ale gdy mamy na celu zrozumienie języka przeszłości, dotyczącej człowieka, to uważamy za wystarczające intuicje cudze albo własne, byleby one schlebiały naszej ambicji o pochodzeniu nadprzyrodzonem i o celowości istnienia naszego. Taki sposób traktowania przedmiotu, najbliżej nas obchodzącego, stał się powodem, że po większej części w dziedzinach wiedzy historycznej, filozoficznej i społecznej nie potrafiono wznieść się nad poziom rojeń naiwnych, poetyckich, celowościowych, doktrynerskich.

Gdybyśmy mogli raz zgodzić się na to, że tylko stanowisko, które zawdzięczamy dzisiaj nowszym badaniom biologicznym, jest zdolne zapewnić zrozumienie kwestji, dotyczących człowieka, a tem samem i tej, którą się zajmujemy obecnie, to wtedy byłoby już rzeczą łatwiejszą porozumieć się i co do faktów samych, o które nam chodzi i co do wniosków, na nich opartych.

Ale czy zgoda jest łatwą? czy ona w obecnej chwili jest nawet możebną? Wątpić należy. Bo czy potrafimy n. p. drogą dowodów chociażby najlogiczniejszych, przekonać ludzi, wierzących w słuszność teorji o powstaniu kobiety z żebra mężczyzny, że organizmy, jak męzki, tak i żeński, były pierwotnie równowartościowe i że dzisiaj przewaga organizmu pod wieloma względami leży po stronie niewieściej, — albo czy dadzą się nakłonić wyznawcy zasady o akcie jednorazowego, samorzutnego, celowościowego tworzenia się gatunków organicznych i form płciowych do zrozumienia konieczności przyjęcia teorji o stopniowem kształtowaniu się męzkości i kobiecości w przyrodzie i o najzupełniejszej ich zależności od warunków zewnętrznych?

Otóż żądać zmiany poglądów od tego rodzaju uczonych, którzy wierzą, że długa kosa, a krótki rozum zostały nadane kobiecie, i że pozostaną takowemi na wieki dla tego, ażeby ją łatwiej mógł za nos wodzić mężczyzna, jest rzeczą tak trudną, jak nie łatwo jest żyć rybom bez wody, albo żółwiom latać po powietrzu. Prawie to samo da się powiedzieć i odnośnie do tych wszystkich badaczy, którzy, wychodząc z przesłanek, wspomnianych powyżej, pracują dzisiaj w dziedzinie socjologji, antropologji i historji, czy oni zechcą zrozumieć potrzebę poznawania praw zasadniczych, rządzących rozwojem świata organicznego, które to prawa ledz powinne jako podwaliny przy wszelkich badaniach, dotyczących człowieka, kiedy tej potrzeby dotąd nie czuli i jej konieczności nie rozumieją? Wszak dożyliśmy obecnie do tej smutnej chwili, że mężowie stanu starają się o to usilnie, ażeby nawet uczniowie, zajmujący się naukami biologicznemi, nie wiedzieli zgoła o tem, co jest biologja, bo chcą oni teraz sprowadzić nauczanie pewnych gałęzi tej wiedzy wprost do poziomu bezmyślnej tresury rzemieślniczej, a cóż dopiero mówić o naukach tak zwanych historycznych, filozoficznych, prawnych i filologicznych! Te ostatnie stoją na stopniu oderwanych gałęzi od pnia wiedzy macierzystej, biologicznej, a ludzie, co je uprawiają, nieraz się tem szczycą nawet, że pnia samego nie znają wcale, gdyż biologja według ich zdania materjalizuje tylko umysły, a ich subtelne natury nie znoszą balastu pozytywnych nauk.

Jak żaden wyznawca wierzeń Mahometa nie da się przekonać, przy pomocy wywodów racjonalnych, że są prawa natury, poznane i wielokrotnie sprawdzone, a które uznać jest koniecznością, jakkolwiek są one w niezgodzie z koranem, tak znowu każdy wierzący w nieomylność swoich poglądów, logiką rządzić się nie będzie, bo do niej nie przywykł i jej używać nie umie. (C. d. n.)

# Cenzura w Polsce

przez Jerzego Brandesa.

II.

Dopiero teraz mogłem się wziąć do opracowania swych odczytów, a to szło bardzo pomału. Bywały dnie, kiedym pomimo wszelkiej pilności nie mógł nic a nic pisać, dnie, kiedym się naprożno wysilał na wyszukanie słów o podwójnem znaczeniu, które, same przez się mniej wyraźne, mogły jednak przez audytorjum być zrozumiane, opisy przeźroczyste a zarazem takie, do których by się nie można było przyczepić. Na szczęście ten polski, na pół wschodni naród lubi styl bardziej obrazowy, niż rzeczowy i jest w tym względzie, tak samo jaki i w wielu innych, wprost przeciwny francuskiemu.

Zwolna wyćwiczyłem się w stylu rebusowym, pisałem tak, że zapomocą wygłoszenia lub pauzy można było zdaniu nadawać żywszy charakter, poruszałem się we mgle napomknień i domyślników. Wreszcie miałem gotowy pierwszy odczyt a to po francusku w dwóch egzemplarzach — jeden dla siebie, drugi dla cenzury — i po rosyjsku jeden egz. dla kuratora uniwersytetu. Opatrzyłem je potrzebnymi stemplami, pojechałem z pierwszym egzemplarzem do prezydenta cenzury i prosiłem go, by rozpoczął cenzurowanie. Wziąłem ze sobą księdza (zawsze dobrze jest mieć ze sobą księdza, bo ten ma wszędzie przyjaciół, a zwłaszcza w Polsce pośród wyższych polskich urzędników po biurach). Zdawało się, że wszystko pójdzie dobrze. Niestety jednak, Apuchtin nie chciał rozpoczynać cenzurowania tekstu rosyjskiego, dopóki nie będzie miał wszystkich odczytów naraz. To było źle, bo z wykreśleń pierwszego odczytu chciałem zmiarkować, na co się mogę odważyć w następnych.

Teraz widać już było jasno, że rosyjski luty minie, zanim moje odczyty wrócą z cenzury. Przytem przekonałem się, że trzech odczytów będzie za mało dla wyczerpującego przedstawienia mego tematu, nawet jeżelibym każdy odczyt rozciągnął na dwie godziny. Poprosiłem tedy policmajstra, by mi pozwolił zamiast trzech wykładów mieć cztery i przedłużył termin po za rosyjski luty.

Na cztery wykłady nie chciano mi zezwolić. „Dla czego?“ pytam. „Bo trzy wykłady, to jeszcze rozrywka, a cztery, to już nauczanie“. Okazało się, że władze obawiały się, by pod formą odczytów na cele dobroczynne nie urządzono w ratuszu czegoś w rodzaju uniwersytetu polskiego, gdzie by jeden cykl wykładów w ten lub inny sposób był dalszym ciągem innego.

Prócz tego trzeba było starać się o przedłużenie terminu. „Dla czegoż pan nie [illegible] w lutym? To pańska rzecz, jeżeli pan tego nie czyni.“ Powoływałem się na trudności, jakie mi czyni cenzura. Tak, tak, tu trzeba uczynić co następuje: podać na piśmie prośbę do policmajstra, ten odeszle ją potem Apuchtinowi, Apuchtin wyekspedjuje ją jenerałowi Gurce, ten być może zapyta się w Petersburgu, czy można zezwolić na przedłużenie terminu, i ostatecznie rzecz wróci znowu przez te same instancje. — A kiedyż można się spodziewać odpowiedzi? — No, mniej więcej za pięć tygodni. — Ależ w takim razie już i marzec się skończy, a na pierwszego kwietnia (wedle rosyjskiej rachuby) muszę być w Kopenhadze. — Ha, to już pańska rzecz, władzy to wcale nic nie obchodzi.

Oczywiście władza ta nie bardzo pragnęła tego, by w Warszawie odbyły się wykłady o polskiej literaturze narodowej. W tym czasie otrzymałem swój pierwszy odczyt z cenzury. Obkrojono go znacznie: całe zakończenie, wynoszące kilka stronic, było przekreślone, wszędzie w tekście były też liczne kreślenia. Nawet znany cytat z Szyllera „żywy ma prawo“ skreślono, słowa takie jak »resignation« i »tristesse« użyte dla charakterystyki literatury polskiej, były powykreślane. Skreślono ustęp, gdzie mówiono o katolickiej religijności poetów. W innym ustępie, gdzie była mowa o życiu, jakie kreśli Mickiewicz w swem najsławniejszem dziele, czerwonym atramentem poprzekreślano słowa: „litewskie lasy, naturalne ramy tego życia“. W ustępie, gdzie stały słowa: „Po raz pierwszy od podziału państwa“, wykreślono trzy ostatnie słowa.

Wpłynęło to na mnie o tyle zniechęcająco, iżem zobaczył, że z drugiego odczytu, najśmielszego, nie dużo pozostanie. Napisałem więc trzeci prawie bezbarwnie pod względem politycznym, religijnym i społecznym i starałem się, ilem mógł zamaskować słabość treści jaskrawszym kolorytem przedstawienia i stylu.

W tem stało się tak, że mój cenzor, najbardziej nienawidzony z pomiędzy wszystkich cenzorów warszawskich, nagle umarł. Dwa ostatnie moje odczyty znaleziono u niego pod poduszką — niepoprawione. W Warszawie wszyscy mi byli tak wdzięczni, jak gdyby istniał jakiś związek przyczynowy między moimi odczytami a nagłą śmiercią cenzora.

Od razu wszystko ułożyło się jakoś lepiej, była nadzieja, że dalsze odczyty traktować będą łagodniej. By skrócić całą procedurę, postanowiłem zwrócić się wprost do jenerał-gubernatora. Bohater z Tirnowa i wąwozu Szypki nie mógł zapewne być tak małostkowym, jak podrzędny

urzędnik policyjny i podrzędni cenzorowie. W dzień audjencjonalny pojechałem do zamku jenerał-gubernatorskiego. Jest to stary zamek królewski nad Wisłą; niezmieniony na zewnątrz, tylko obrabowany ze wszystkich skarbów sztuki.

(C. d n,).

# Na Sachalinie.

(PODSŁUCHANE PRZEZ CZTERY ŚCIANY)

(Ciąg dalszy).

Zbliżam się machinalnie do omdlonego i jakiemiś drewnianemi rękami pomagam go układać i rozbierać. Ziewam, ramiona moje dreszcze przebiegają — robię wszystko powoli, niezręcznie i obojętnie. Wprost nie poznaję siebie! O jakże innym był pierwszy mój opatrunek, udzielony temu nieszczęśliwemu człowiekowi...

Armer rozdrażniony, zgorzkniały, zarządziwszy środki konieczne — leci jak burza do naczelnego doktora z jakimś tryumfującym gniewem. Warunki nasze wykolejają nawet spokojne, nawet panujące nad sobą natury w pewnych chwilach. Dobrze to, że ja zaczynam przynajmniej tak sztywnieć i obojętnieć na wszystko. Nawał pracy i znużenie przytępiły ostatecznie czucie moje. Tylko z błogiem upragnieniem smakosza oczekuję na godzinę spoczynku, chciwie i obficie pijam rozmaite napoje krzepiące i podbudzające... Apetytu nie mam... Tylko spać i pić mi się chce nieustannie, spać i pić...

## XXVI.

Głowę moją przepełnia mgła, pełna męczącego gwaru — a wszystkie zmysły nasiąkły ostrą szpitalną dezynfekcją. Jęki, bredzenie, przekleństwa, starcia się z bezduszną służbą szpitalną — i przy tem senność mózgu i serca. Jakaż to całość obalająca człowieka! — Jest to nasza »wiosna« w sinej postaci epidemji.

A tymczasem nie mogę przecież odstąpić tego, który prawie co nocy umiera i dotąd umrzeć nie może — i tego, co powrócił do nas, żeby już umrzeć nareszcie. Gdy ci dwaj już się wyzwolą — wytchnę i będę służyć innym — rozsądnie, oszczędnie, pamiętając o sobie.

Włodzimierz — to biedne dziecko znękane — obawia się okrutnie męczeńskich swych nocy — i błaga, by go nie odstępować. To też przykuł mię do swego łoża na całe długie tygodnie. Ręce moje całuje, przyciska je do piersi i prosi, żebym go nazywała Włodziem. Dużo mówi o matce, która właśnie ma przybyć i razem z nim zamieszkać (chyba już pod ziemią!). Władza już pozwoliła. A potem prędko termin się kończy — i powracają do kraju. Byleby tylko jak najpr[illegible] wyzdrowieć... O tak! żebyś ty już jak najprędzej »wyzdrowiał«, — mój ty żałośny, mój ty biedaczku — bo już upadam, już ci nie będę mogła chyba ulżyć śmierci samotnej.

Z innym »moim« jest źle, ale mogłoby być gorzej. Być może, że jeszcze wyjdzie po raz drugi. Doktor naczelny leczy go z nadzwyczajną starannością, usunął całkiem Armera od pomocy. — Dla czego sprzysięgacie się przeciw niemu, złe siły ziemskie? Śmierć nieszczęścia — jest przecież najwyższem szczęściem. A tymczasem tak łatwo je posiąść i innym je otworzyć!

## XXVII.

— Oto siedzę na swej pościeli, w swoim pokoju i zabieram się do spoczynku, jak by się nic nie stało. I tak jak zawsze, jak codzień o tej porze oczy mi sen klei, a głowa z rozkoszą chyli się do poduszki.

Zrobiłam to tak spokojnie, rozważnie, ze słodką pociechą w sercu. Dla tego wszystko się wykonało podług mojej woli. Jakaż to wielka, niezrównana ulga dla wszystkich nas trojga! Śpicie już wreszcie w ukojeniu, w ciszy — a więc i w szczęśliwości. I z mojej dłoni macie ten spokój. I ja się wreszcie rzucę na łoże i spocznę, bo i mnie też przecie należy się wytchnienie... należy mi się nagroda! Nieprawdaż, że wdzięczni mi jesteście, jeżeli tam czujecie, jeżeli przebywacie w świadomym jakim świecie?!

O gdybyście mogli ukazać mi się i potwierdzić, że dobrze zrobiłam!... Ale nie wątpię o tem, nie wątpię. A teraz spoczywajmy wszyscy troje kojąco i słodko — wy wiecznym snem, a ja choć czasowym...

## XXVIII.

Co to było?!... Na miłość Boga, na pamięć waszą, rodzice moi najukochańsi — co to było?!... Rzeczywistość, czy sen, czy halucynacja? Chore nerwy — czy prawda objawiona? Cała drżę jeszcze i płaczę, i klękam, i ręce cisnę do czoła i do serca — by opamiętać się, czy przejrzeć, czy pojąć!... aby się uspokoić, bo rady sobie dać nie mogę, bo zmysły tracę.

Siedziałam czemuś przed chwilą na łóżku, jakby wyczekująca, przygotowana, wpatrzona — jakby na czyjeś rozkazy, na czyjeś zaklęcia czy prośby. Czy oni to stanęli przedemną obaj, trzymając się za ręce, bledzi, jaśni, przejrzyści — uśmiechnięci?

Boże! czy to był sen, czy prawda, czy halucynacja? Co za męcząca niepewność, której nic i nikt nie rozwiąże! Pragnę nadewszysko przypuszczać, iż stało się to w istocie. Dusza moja inaczej by tak nie drżała, dotknięta przez tchnienia nadziemskie... Dusza moja »czuje« — i jakby się zwęża i zwija od potężnego dotknięcia siły wielkiej, a strasznej... bo tak obcej, nie[illegible] nieznanej. Dusza moja, tuląca się trwoż-

nie do ciała — szepce mi, że to prawda! Że jest tam — świat, że są tam oni — i wszyscy ci, co umarli... lepsi od nas i szczęśliwsi.

Teraz staram się gwałtem uspokoić. Miota mną cała burza niezwykłych jakichś, uroczystych uczuć, które męcząco rozpychają, rozdzierają mą biedną, nieświadomą, ziemską mą duszę. Wylęknionemi, ćmiącemi się oczami — spoglądam na dziwy te nowo objawione, jak w młodym wieku patrzyłam na niebo gwiaździste po raz pierwszy, gdy mi opowiedziano o przestrzeniach, rozdzielających gwiazdy i planety. Skrzydło nadprzyrodzoności mię dotyka. Kolana gną się podemną, a z oczu potoki łez buchają. Ten bezmiar pojęcia obala mię, mózg mi rozsadza ogromem swoim... Do ludzi prędzej, do ludzi — do naturalnego żywiołu mego — do ziemi, bo zmysły tracę!...

XXIX.

Armer wie, odgadł. Łatwo też było zgadnąć, nie kryłabym się nawet przed nim; lecz on nie badał, zmięszany, unikający mego śmiałego wzroku, jak niby przestraszony, dziwny, wyraźnie nie swój. Naczelny doktor mało okazał zdziwienia, jak tego można się było spodziewać. Zauważył tylko, że choroba wzięła fatalnie nagły kierunek — i że w każdym razie należało przywołać go wówczas w nocy. Podejrzewa widocznie, żem zasnęła ze znużenia. Co do Włodzimierza — ani zapytał. Śmierć ta nikomu by się nie mogła wydać podejrzaną.

Lecz Armer, Armer... Ten się przygotowuje do walki ze mną. Tylko przez wzgląd na moje »bezmierne«, jak je nazywał, poświęcenie, nie robi sekcji, alarmu. O tak, człowieku! gdybyś chciał, zgubiłbyś odrazu »anioła« szpitalnego. W poziomej głowie twojej nie może się pomieścić myśl, iż muszą czasem wyrastać aniołowi temu i czarne skrzydła — i że porywa on niekiedy w dłonie ognisty miecz, by gromić nim katusze niezasłużone!

Tak, byłam tylko »aniołem śmierci«, ale nie gminnem jej widmem, strasznym szkieletem ze ślepą, grubą kosą. Coraz mocniej wierzę, że dobrze zrobiłam. Tylko mi czegoś smutno bez granic... i tak jakoś obco i dziwnie na tym świecie...

Misja moja nowa jest wielką, jest świętą. Jam bohaterska pionierka nowej i wielkiej sprawy cierpiącej ludzkości. Ja się opieram mocno na potwierdzeniu z za świata! — A jednak.. Czasami... resztka tych płytkich pojęć ziemskich zatapia szpony w mem sercu... i tak je rozdziera, tak krwawi! Ależ niewinna, niewinna jestem! śmiała, odważna i ofiarna wybawicielka cierpiących. Boże, jak pragnę spoczynku, ciszy i zapomnienia, które im dać potrafiłam... Mam przecież prawo na nie, mam je, mam więcej, niż wszyscy... Sza! może usnę... znużone oczy się kleją. Czemuż to serce nieszczęśliwe uderza znów tak gwałtownie i tak nierówno?..

(C. d. n.) *Janina Baudouin de Courtenay.*

# NOWE DZIEŁO
# Z DZIEDZINY HISTORJI POWSZECHNEJ.

Przed paru laty profesorowie Ernest Lavisse i Alfred Rambaud rozpoczęli wydawnictwo monumentalnego podręcznika historji powszechnej. Dzieło to nosi tytuł: «Histoire générale du IV. siècle à nos jours« i objęło do chwili obecnej epoki od IV. do VIII. wieku włącznie. Historja 15-stu stuleci zawartą została w 8-miu tysiącstronicowych tomach; na sam zaś wiek XIX. autorowie przeznaczają 4 tomy ostatnie. Profesorowie Lavisse i Rambaud, jakkolwiek obaj zajmujący poczestne stanowisko w naukowym świecie, nie odważyli się na opracowanie tej całości własnemi siłami. Dzieło wychodzi według ich planu i pod ich redakcją, opracowanie wszakże poszczególnych działów powierzonem zostało specjalistom. W ten sposób monumentalne wydawnictwo będzie niejako streszczeniem wiadomości, posiadanych przez współczesnych historyków francuskich o dziejach powszechnych. Uwzględniwszy olbrzymi postęp w robocie, jakiego dokonała niewątpliwie szkoła francuska w ostatnich dziesiątkach lat, przyznać musimy z góry, że dzieło takie posiadać musi wartość niemałą. Nie ma literalnie głośniejszego nazwiska z pośród historyków francuskich, któregobyśmy nie znaleźli na liście współpracowników wydawnictwa. Martin pisze o Ludwiku XV., Vast — o wojnie siedmioletniej, Blondel — o Niemczech, Sagous — o Anglji, Orsi — o Włoszech i Hiszpanji, Leger, Denis, Rambaud, Vaudal — o słowiańszczyźnie i o wschodzie, Aulard — o w. XVIII. we Francji, wreszcie Monod, Pingaud, Wall, Lavisse, Müntz, Buissen, Langlois, Seignebos itd. — każdy w swoim dziale. Prócz właściwych historyków pracują w wydawnictwie: Levasseur i Arnauné — nad ekonomją i statystyką rozmaitych epok; Michel i Moireau nad ich sztuką; Emil Faguet i de Joinville — nad literaturą. Kwiat sił naukowych słowem, którego dzieło zbiorowe będzie w każdym razie ciekawym i jedynym w swoim rodzaju dokumentem.

Jakkolwiek olbrzymią jest objętość tego dzieła, które wyniesie około 12.000 stron dużego bibliotecznego formatu, obszar przedmiotu, zawartego w nim, sprawia, że na każdą epokę i na każdy kraj przypada stosunkowo niewiele. Wśród działów, opracowanych obszerniej, wymienić oczywiście wypada przedewszystkiem historję Francji. Zajmie ona mniej więcej połowę wydawnictwa, udział zaś takich specjalistów jak Lavisse, Monod, Aulard, Rambaud, Vast, Sorel, zapewnia pracy poważniejszą wartość. Następnie obszerniej stosunkowo niż zwyczajnie uwzglę-

ględnioną tu zostaje historja dalekiego wschodu. Ładne rozdziały poświęcono powstawaniu i wzrostowi Prus, kwestji wschodniej w XVIII. stuleciu, niektórym epokom Anglji itd. Świat słowiański, może po raz pierwszy w dziełach historyków francuskich, znalazł opracowanie nieco staranniejsze. Żałować jednak musimy, że obok Rambaud, Denis'a, Legere'a i Vaudala nie spotykamy Quidor'a, Marbot i Sorela, nie mówiąc już o współpracownictwie samych Słowian. Quidor jest dzisiaj najlepszym we Francji znawcą stosunków etnograficznych słowiańszczyzny; Marbot napisał w swoim czasie cenną pracę o stosunku Słowian do Niemców; Sorel wreszcie łączy potężną erudycję w kwestjach w. XVIII. i XIX. z rzadką dziś u historyków francuskich sprawiedliwością sądu. Wszyscy trzej wymienieni należą do nielicznych bardzo przyjaciół Polski, czego nie można powiedzieć o Vaudal'u (autor dzieła o Napoleonie i Aleksandrze I.), ani o Denisie lub Leger.

Nie możemy oczywiście podejmować tu oceny pracy tak rozległej, jak dzieło Lavisse'a i Rambaud. Rola nasza z konieczności ogranicza się do podania kilku ogólniejszych informacji o niem. W obecnej chwili charakter dzieła daje się już określić, ponieważ mamy przed sobą ośm tomów, zawierających pewną całość historyczną. Otóż, powtarzamy raz jeszcze: dzieło to, pomimo swego ogromu, jest właściwie tylko podręcznikiem. To znaczy, że w każdej epoce ogranicza się możliwie treściwym wykładem faktów zasadniczych. Szczegóły są pominięte, prócz może historji Francji i to tylko w kilku epokach. Tak np. nieco obszerniej opracowaną jest wielka rewolucja. Ale tu właśnie szczegóły (zwłaszcza z zakresu prawodawstwa, statystyki, życia umysłowego epoki) nabierają doniosłości pierwszorzędnej.

Bliżej interesować nas może stanowisko historyków względem Polski. Na ogół stanowisko to nie jest przyjazne, co się czuje w tonie autorów. Polsce poświęcono dotąd od 100 do 150 stron, doprowadzając jej historję do 1796 roku. Nie jest to za dużo. Okres od wyłonienia się Polski ze słowiańszczyzny aż do r. 1492 opracował prof. Denis. P. Denis pośpieszył ulokować przyczyny upadku Polski już w wieku XI. Przyszło mu to tem łatwiej, że nie zna zupełnie nowszych źródeł historji polskiej. Mówiąc np. o początkach Polski, o słowiańszczyźnie, o Mieszku lub o Jagielle, nie zna ani Piekosińskiego, ani Smolki, ani Szajnochy. Dopiero w III. tomie robi notatkę w bibliografji, odsyłającą do Pawińskiego lub wyliczenia źródeł Finkla. Białorusinów (obecnie) narachowuje p. Denis tylko 400.000; Polaków zaś $9^1/_2$ miljonów.

W tomie czwartym rubrykę Polski obejmuje prof. Leger, który jest następcą Mickiewicza i Chodźki na katedrze paryskiej literatur słowiańskich. Prof. Leger jest dużo zręczniejszy od Denis'a. Obywa się jednak również bez wielu autorów, chociaż ich dość obficie cytuje. Cytuje również wierszyki, między innymi wiersz Desportes'a, napisany podczas ucieczki Henryka Walezego:

»Adieu, Pologne, adieu plaines désertes...«

W tomie IV. uczony slawista cytuje znowu wierszyk (tym razem polski, ale z błędami). Z tych cytat wnosić może czytelnik, że panu Leger nie za mało było tych 30—40 stron, na których ulokował historję naszą od 1492 do 1715 roku. Slawista ze szczególniejszem zresztą upodobaniem i nie bez pewnej erudycji podkreśla wszędzie, gdzie się da, oznaki upadku.

W tomie VII. i VIII. panują pp. Vaudal i Rambaud. Vaudal napisał ładny rozdział o wojnach o następstwo tronu i o wojnie wschodniej (1733—1739). Rambaud wreszcie prowadzi historję Polski aż do powstania Kościuszkowskiego. Rambaud i Vaudal zdradzają dużo większą znajomość źródeł polskich, niż Denis i Leger. Rambaud np. zna nawet najświeższe wydawnictwo o Kościuszce. Nastrój ich jednak w ocenie faktów nie różni się od poprzednich.

Jest to ten sam marny, jałowy i płaski nastrój oportunistów, który znamy tak dobrze i w polityce francuskiej, i, zresztą, w literaturze, id ach i zabiegach nie samych tylko Francuzów i nie samych polityków. Panu Leger chodzi ogromnie o wykazanie, że Polska sama przez się, przez swe błędy, nie mogła się ostać — to znamy przecież. Panu Rambaud chodzi znów o wykazanie, że respublika francuska nie mogła, nie powinna była Polski uratować. Razem zaś drepcą ci myśliciele dokoła wszelkiego najdrobniejszego pretekstu t. z. wewnętrznych przyczyn upadku, ażeby jak najsłabszy nacisk w bilansie ogólnym położyć na t. z. przyczynach zewnętrznych. Wszakże znamy i to.

Zresztą całość »Historji powszechnej« Lavisse'a i Rambaud jest niewątpliwie cenną książką informacyjną dla dziennikarza, literata lub nauczyciela.

*Ant. Polocki.*

# Interes ugodowy.

Obrachunki polityczne. I. Rosja wobec Polski. II. Polska wobec Rosji, skreślił publicysta z Warszawy. Kraków 1896.

Pół wieku zaledwie mija od chwili, kiedy ostatnie absolutne monarchje Europy (oprócz świętej Rosji) musiały się na gwałt przekształcić, zaprowadzać konstytucje, znosić poddaństwo chłopów i religijną inkwizycję, bo trony się chwiały pod naporem ludów, jak zabawki w ręku dziecka, bo wszyscy wierzyli w jakieś idealne sprawiedliwości, obowiązki i inne podobne mrzonki. Nawet wsteczne stronnictwa opierały się na królowaniu z Bożej łaski na prawowitości czyli legitymiźmie, i na rozmaitych innych zasadach, często bardzo niedorzecznych, ale nie mających nic wspólnego z praktykowanem w starożytności i w średnich wiekach prawem pięści; wszystko zaś, co dążyło do postępu, odwoływało się jedynie do idealnych haseł, znanych i szanowanych od wieków, do »równości, braterstwa i wolności«, do narodowości, do wolności sumienia, do praw wrodzonych i do wielu innych, bardzo pięknych i sentymentalnych rzeczy. Żądano zupełnego poświęcenia, wyparcia się mienia,

korzyści, nawet życia dla owych ideałów, i — rzecz dziwna — owe poświęcenie doprowadzało w końcu, jak zawsze, do bardzo dotykalnych i doczesnych zysków. Przykład mistyków XVI. i XVII. wieku, purytanów Nowej Anglji, sekciarzy wielkiej francuzkiej rewolucji przyświecał każdemu, który się rwał do oświaty i do wolności, i pomimo wszelkich omyłek i błędów ów przykład doprowadzał chociaż w części do wymarzonego celu.

Pół wieku minęło — i wszystko się zmieniło. Nie będziemy rozstrząsali przyczyn takiego zjawiska, nie chcemy badać, czy winę takiej zmiany przypisać należy kapitalizmowi, jak mówią socjaliści, niedowiarstwu, jak twierdzą klerykali, militaryzmowi, jak krzyczą liberali; dość że dawne ideały poszły w kąt, a zastąpiły je inne zupełnie hasła i zasady, oparte prawie jedynie na chwilowej, codziennej korzyści, czyli, jak się dzisiaj wyrażają, na i n t e r e s i e. Ponieważ, podług powszechnej opinji i podług autora broszury, którą omawiamy, p o d s t a w ą i p o c z ą t k i e m p o s t ę p o w a n i a m o ż e b y ć t y l k o — i n t e r e s (II. str. 40), to jest, po prostu, ten zwycięży, kto kogo oszuka lub okradnie nowe europejskie konstytucyjne państwa, hołdujące na pozór wynikom dawnych ideałów, prawom, konstytucjom i t. p. nigdy nie są pewne jutra i zbroją się na gwałt, bo dzisiejszy sąsiad i sprzymierzeniec może znienacka zostać najzaciętszym i najniebezpieczniejszym wrogiem, a jedyną ich trwałą zasadą zdaje się być dawny pewnik Hobbesa: *homo homini lupus*. Trzy miljony żołnierzy ochraniają ów porządek, który się ma niby opierać na wiecznych, ściśle naukowych, s o c j o l o g i c z n y c h podstawach, i swoją drogą wycieńczając razem z lichwą ostatnie »państwowe« zasoby, doprowadzają jedynie ludy do masowej emigracji, a jutro może do najgwałtowniejszego społecznego przewrotu, jaki kiedykolwiek dzieje pamiętają.

Nie brak wprawdzie, jak zawsze bywało na świecie, nowych stronnictw i nowych naukowych kierunków, obok dawnych, a raczej odnowionych szkół; nie brak konserwatystów i przewrotowców, postępowców i wsteczników, absolutystów i demokratów; ale sprężyny, poruszające to całe ludzkie mrowisko, są zupełnie inne, niż dawniej. Wszystkie niemal stronnictwa zmówiły się dla potępienia dawnej »niepraktyczności«, dawnego »marzycielstwa«, przeszłowiekowych« mistycyzmów i sentymentalizmów; o poświęceniu »dla idei«, jak niegdyś wołano, mowy już prawie niema — został tylko jedyny, wszędzie namacalny wynik — i n t e r e s.

Bardzo jasny, choć jak mówią, grubo w bawełnę poobwijany jest interes »publicysty z Warszawy« i całego jego stronnictwa: przebija on się w każdym wierszu tej broszury, jak w każdym artykule naszych pism ugodowych i formułuje się poprostu jak następuje:

W wielkiej części Polski, mianowicie w zaborze rosyjskim, ci ludzie, którzy w innych krajach żyją pasorzytnie z pracy większości narodu, jako administratorzy, urzędnicy, »obszarnicy« itp. itp. są grubo upośledzeni, bo rząd moskiewski wprowadził własnych pasorzytów i nic podług moskiewskiego wyrażenia z „gromadzkiego pasztetu« nie udziela polskim kandydatom na policjantów: wszystko zjadają Jankulje i Apuchtiny. Jest nadzieja, powstała ni stąd ni zowąd po śmierci Aleksandra III., że można się będzie do tego »pasztetu“ dostać, ale pod warunkiem najzupełniejszej uległości całego narodu; trzeba więc naród do niej namówić. »P o l s k a w o b e c R o s j i« jest dalszym ciągiem, niby naukowym, rozumowanym, takiego namawiania Polaków do płacenia z krwi własnej, z własnego mienia tych naszych niby współobywateli, którzy się podejmą dokończyć naszemi własnemi siłami naszego ostatecznego wytępienia.

Interes ten, jak widzi czytelnik, jest bardzo drażliwy, bo kupujący ten ugodowy towar musi być albo zupełnym idjotą, albo zupełnie omamionym i oszukanym.

Chociaż z książki »Publicysty« nie wielką wieje mądrością, byłby on sam zupełnie pozbawiony tego przymiotu, gdyby nam dawał jasne, określone, »konkretne« fakty, że się jego językiem wyrażę. Sama kwestja tak jest jasna przez się, że wszelkie sumienne dane oświeciłyby ją od razu najzupełniej. Więc p. Publicysta żadnych nam faktów nie daje. Pomimo, naprzykład, tytułu książki »Polska w obec Rosji«, nigdzie nie widać o jakiej Polsce i o jakiej Rosji mowa. Zdawało by się, że Rosja występuje jedynie jako państwo, liczące 117 miljonów ludności, niewiadomo jakiej i w takim razie Polska była by zero, bo polskiego państwa niema. Czy autor mówi o 60 miljonach wielkorusów i o 15 miljonach Polaków, podług przyjętej (i bardzo fałszywej) rządowej statystyki? Czy o federacji polskiej, razem z Litwą i Rusią i o wszystkich prawosławnych poddanych Mikołaja II., nie wyłączając Unitów, Ormian, Czuwaszów i Jakutów? Na takie pytania niema żadnej odpowiedzi.

Ale mniejsza o to. Nie idzie wcale p. Publicyście o fakty, jak nie idzie o fakty p. Tarnowskiemu, p. Wojciechowi Dzieduszyckiemu i innym tego rodzaju myślicielom. Trzeba wmówić, że co czarne, to białe, co zgniłe, to świeże, co słabe, to mocne, jednem słowem oszukać jak najzgrabniej. W zwykłych pseudonaukowych rozprawach występują wówczas przeddziejowe rasowości, atawizmy i inne niemniej niepodobne do sprawdzenia pewniki; ale taka taktyka tutaj się nie nadaje, bo roztrząsa się kwestja bieżąca, paląca, a mianowicie: c z y m a m y w a l c z y ć z w r o g i e m, k t ó r y n a s z a b i j a, c z y w ł a s n o r ę c z n i e s i ę z a b i j a ć? Trzeba nagromadzić taką masę olśniewających dzisiejszych »pewników«, że biedny kundman zupełnie otumaniony

zostanie. W tej »branszy« p. Publicysta jest rzeczywiście niewyczerpany. Sądźcie sami.

„Poznanie prawdy, ścisłe ocenienie czynników bytu narodowego, stanowi pierwszy nasz obowiązek patrjotyczny«. Bardzo pięknie. Więc pierwsza prawda jest — »o d p a ń s t w a r o s y j s k i e g o n i e o d e r w i e m y s i ę a n i d z i ś, a n i j u t r o. J e s t t o p e w n i k. J e s t t o f a k t« (II. str. 5). Jak, dla czego, co znaczy dziś, co znaczy jutro — niewiadomo. Jeźli dziś znaczy 18. października 1896 roku, a jutro 19-go, p. Publicysta ma najświętszą rację: ale mówiono przecież: »Wenecja nie oderwie się od Austrji, Bułgarja od Turcji, Belgja od Holandji — ani dziś, ani jutro«: w 1869 roku można było jeszcze z większą pewnością zawyrokować: »Alzacja i Lotaryngja nie zostaną od Francji oderwane, ani dziś, ani jutro«. Większego zatem praktycznego nonsensu trudno wymyślić, a że on — jak mówi sam p. Publicysta — »powinien i musi stanowić punkt wyjścia w pracy naszej dla przyszłości, (II. str. 5), więc z pierwszego wiersza widać, że cała praca jest i musi być niedorzecznością, logicznie wyprowadzoną z bezsensu.

Zrobimy jednak p. publicyście zaszczyt, że rozpatrzymy ten jego fundamentalny pewnik, przypuszczając że jest rozumnie i ściśle wyrażony. Ma to niby znaczyć, że nie przestaniemy być pod władzą Moskali w najbliższej ani w dalszej przyszłości. Dla czego? Niewiadomo. O jakiej części Polski mowa? Nie wiemy. Jeźli mowa, jak się zdaje, o Kongresówce, fakt jest taki: Moskale trzymają w królestwie kongresowem 200 000 wojska i kilka tysięcy urzędników, i przy ich pomocy każą nam służyć sobie, płacić podatki, dawać rekruta; skoro to wojsko ustąpi, nie będzie nawet śladu, żeśmy byli tam zapisani jako poddani cesarza rosyjskiego. To ustąpienie jest możliwe, bo przecież wojsko składa się z ludzi, mogących się poruszyć za pomocą nóg. Czy to możliwe ustąpienie nastąpi dziś, czy jutro, czy za dziesięć lat, czy za sto, czy wcale nie nastąpi — nie wie ani p. publicysta, ani nikt na świecie, — ale zawyrokować, że ono w c a l e nie nastąpi, ani w czasie teraźniejszym, ani w przyszłym, może tylko ostatni półgłówek, albo — „geszefciarz“ z Kaźmierzowskiej ulicy, chcący nam zgniły towar wpakować.

Idźmy dalej. Gdyby była mowa np. o zaborze pruskim, rzecz by się przedstawiała zupełnie inaczej, i dla tego p. publicysta *et consortes* unikają najstarannej wszelkich dat statystycznych, wszelkich określonych pojęć. Tam mamy, oprócz wojska niemieckiego i niemieckich urzędników, przynajmniej jedną trzecią część ludności, a jeźli okroimy zupełnie zniemczone powiaty, najmniej jedną czwartą część takich obywateli, który n i e c h c ą do nas należeć, i przyznają się do obcej narodowości. Gdyby więc ustąpiło wojsko niemieckie, co jest równie możliwem, jak w Kongresówce, bo i Niemcy mają nogi, jak Moskale, (o czem p. publicysta zdaje się nie wiedzieć), kwestja nie byłaby rozwiązaną. Jest większe prawdopodobieństwo, że zabór pruski przyłączył by się do reszty Polski, bo większość ludności jest polska: tyle tylko zawyrokować można, nie mówiąc ani o dziś, ani o jutrze.

Jeszcze inaczej ma się rzecz w kraju zabranym. Tam, gdyby ustąpili Moskale, pozostaje ludność w jednej części litewska, w drugiej białoruska, w trzeciej małoruska, a w części tylko polska. Jest zatem prawdopodobnem, że ten ostatni żywioł mógłby wpłynąć na to, ażeby te prowincje przyłączyły się do nas jak dawniej, pod warunkiem zupełnego równouprawnienia federacyjnego, zupełnego uszanowania narodowych, a głównie r e l i g i j n y c h odrębności. Ale tu gra główną rolę żywioł najliczniejszy, litewski i ruski. Takie są f a k t y, takie są p e w n i k i.

Inne, a najzupełniej godne wspaniałego początku, są pewniki i „fakta“ p. publicysty. „Założenia, jakie sobie postawił rząd w Petersburgu, czy też działacze rosyjscy w Królestwie polskiem, są niewykonalne (I St. 8): Historja nie zna ani jednego — powtarzamy, — przykładu, aby naród, mający przeszłość dziejową, kulturę, świadomość własnej odrębności, dał się wynarodowić (I St. 10)“ — oprócz Syrji, Asyrji, Egiptu, Indji, Persji, Baktryjany, Azji mniejszej, Italji, Brytanji, Germanji, Iberji, Peru, Meksyku i tylu innych historycznych krajów i narodów, nie wyłączając naszego własnego Pomorza i Braniborskiego. Ale też za to „trzeba zaślepienia naszych szowinistów, aby twierdzić, iż w atmosferze ucisku świadomość piękniej rozkwita, duch się pogłębia i potężnieje“ (I St. 44). Mówił w tym duchu Jezus Chrystus, ale p. publicysta wie, że „ucisk tylko upadla, mrok zawsze ogłupia“, a pomimo tego, n i e m a a n i j e d n e g o p r z y k ł a d u, ż e b y w y n a r o d o w i ł.

„Geszeft“ wymaga, ażebyśmy się nie bronili, więc, nie bójcie się; choć was będą bili, nic wam nie zaszkodzi. „Geszeft“ wymaga, ażebyśmy pomagali Moskalom, z obawy przed uciskiem — więc tylko zaślepiony szowinista może twierdzić, że się ucisku bać nie trzeba.

*A. B. S.*

## Wiadomości bibljograficzne.

*Rawita-Gawroński Fr.* Ustrój państwowo-społeczny Rusi w XI i XII w. w zarysie. Lwów. Jakubowski i Zadurowicz 1896 str. 222 i 2 nl.

*Schnür-Pepłowski Stanisław.* Życie za wolność! (Opowieść z przeszłości Galicji). Lwów. Nakładem księgarni Altenberga 1897. Str. 36 i 4 nl.

*Taine H.* Filozofia Sztuki przełożył, przypiskami i skorowidzem opatrzył Antoni Sygietyński. Warszawa. Nakład Lewentala 1896. Str. wstępu (pióra Piotra Chmielowskiego) XXXII, dzieła — 363. Spis rzeczy i skorowidz XX.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.